

**Gruszczyńska-Jasiak Janina z domu Gruszczyńska
("Janka", "Porządzka")**



Wybuch czołgu-pułapki i szpital na Długiej 7

Fragmety wywiadu

.....

12 sierpnia zapadła decyzja, że wycofujemy się z Barokowej i wracamy na Długą 7, gdzie później mieścił się centralny szpital na St. Mieście. My sanitariuszki wróciłyśmy na Kilińskiego 1, do mieszkania na I piętrze.

Z plutonem sanitariuszki chodziły na barykady na 24 godziny. Od 12 sierpnia mieliśmy stały punkt, którego broniliśmy. To była katedra św. Jana. Na następną dobę wracałyśmy do ministerstwa. Chłopcy byli ulokowani na parterze. To była duża sala, wypełniona belami papieru na wysokość 1 m, na których można było wygodnie spać. My - dziewczęta wracałyśmy na Kilińskiego 1 na sen i odpoczynek, ale odpoczynek był iluzoryczny, bo czułyśmy się w obowiązku pomóc Koleżankom pracującym w centralnym szpitalu. Warunki były tam b. ciężkie. Przede wszystkim panował straszny tłok. Na Długą 7 zostali ewakuowani ranni ze szpitala Jana Bożego. Ponieważ były stałe naloty pożary – dom Długa 7 palił się ustawicznie – wszystkich rannych trzeba było przenieść do piwnic. Piwnice były tak zatłoczone, że nawet jak ktoś miał łóżko, to leżały na nim 2 osoby. Pozostali leżeli na materacach, inni tylko na kocach. Trudno było przejść, a co dopiero zająć się wszystkim, zmieniać opatrunki. Najgorsze były noce. Na sali jedna świeczka, garnuszek herbatki czy zbożowej kawy. Siedziało się na krzesle i nie wiedziało jak pomóc wołającym ratunku. Niektórzy nieprzytomni, inni umierali w tym tłoku, zaduchu i smrodzie. Tak niewiele można było zrobić, w tak tragicznej sytuacji.

Nasz batalion miał 2 „prywatne” szpitaliki. Jeden mieścił się na Podwalu 19 – to był stosunkowo nowy dom, nowoczesny, jedyny który jako tako ocalał, bo wszystkie pozostałe zamieniły się w gruzy. Były tam bardzo ładne, czyste piwnice i tam leżeli nasi „wigierscy” ranni. Drugi punkt sanitarny mieliśmy w piwnicach domu Kilińskiego 1. To był stary dom i miał typowe piwnice na węgiel. Nasi ranni mieli dużo lepsze warunki niż w szpitalu Długa 7, byli lepiej zaopatrzeni i mieli stałą pomoc lekarską. W naszym szpitaliku mieliśmy nawet gości z innych batalionów.

Proszę opowiedzieć o czołgu-pułapce

Jak wyprowadziliśmy się z Barokowej, przenieśliśmy się na Długą 7. Przeniósł się [też] generał „Bór”. Nasi oficerowie, którzy mieli swoje biura na pierwszym piętrze, musieli się ścieśniać i zrobić miejsce dla generała „Bora” i jego świty.

13 sierpnia był piękny dzień. To była niedziela. Spokojny dzień. Nic nigdzie nie leciało z nieba, ani nie strzelali. Pamiętam, że wróciłam bardzo zmęczona tą przeprowadzką. Miałam jakieś zlecenia, był straszny upał i na Kilińskiego 1 wróciłam strasznie zmordowana. Położyłam się na podłodze w naszym pokoju, którego drzwi wychodziły na balkon. Było koło piątej, szóstej po południu. W każdym razie było jeszcze pięknie i słonecznie. Zaczęły mnie dochodzić krzyki z zewnątrz. Na początku nie zwracałam na to uwagi, bo chciałam trochę odpocząć. Potem jedna, druga osoba przebiegła przez nasz pokój na balkon i w końcu słyszę, że zdobyto czołg.

Oczywiście zerwałam się na równe nogi, wybiegłam na balkon i patrzę. Rzeczywiście, od strony Podwala zbliża się czołg. Ale nie taki normalny czołg, tylko jakby tankietka. Okazało się, że to był transporter do burzenia barykad czy jakichś bardzo dużych przeszkód. Miał bardzo duży ładunek wybuchowy. Niemcy chcieli wysadzić barykadę zamykającą ulicę Piwną, ale uciekli, bo powstańcy zaatakowali ich butelkami zapalającymi. Kierowca tankietki

uciekł, a ją zostawił. Nikt nie wiedział, co to jest, jak należy tym kierować, co to właściwie za pojazd. Miała przyjść ekipa i ocenić, jak się to prowadzi, jak się posługiwać tym mechanizmem. Długo się nie zjawiali i jacyś przygodni powstańcy, którzy przeszli szkolenie motorowe, wsiadli do tego czołgu i ruszyli. Chcieli wjechać do dowództwa, na podwórze Długiej 7. Jechali z Podwala w kierunku ulicy Kilińskiego, a tam była barykada. Ludzie rzucili się do barykady i rozebrali ją na wysokość może pół metra, może więcej. Czołg przejechał przez barykadę i stanął - zepsuł się. Z przodu wysunęła się jakby szuflada. Staliśmy na balkonie *vis-a-vis* tego czołgu. Doskonale widzieliśmy, co się tam dzieje. Tłum ludzi biegł ze wszystkich stron - wiwaty, kwiaty, pootwierane okna, rozradowane, uśmiechnięte twarze. Na czołgu kilku harcerzy z polską flagą. Konsternacja, bo się zepsuł, nie wiadomo, czemu stanął. Wyskoczył kierowca, kilku młodych ludzi i zaczęli się krzątać. Balkon, na którym stałam, miał murowaną balustradę i szeroki parapet. Stałam oparta, trochę dalej było kilka osób, między innymi Basia i nasza koleżanka oraz kilku kolegów. Patrzyliśmy, co się dzieje. W pewnym momencie zobaczyłam tylko okropny słup ognia, zdawało się, że do samego nieba - straciłam przytomność. Jak ją odzyskałam, to zdałam sobie sprawę, że zostałam czymś przywalona. Chciałam sprawdzić, czy mam ręce, nogi, czy jestem jako tako sprawna. Poruszam rękami, palcami nóg, Widzę, że jednak mam czucie, że nie jest ze mną tak źle. Staralam się wydostać spod tego ciężaru. Oczywiście nic nie widziałam, bo oprócz tego., że byłam przygnieciona, to twarz miałam czymś zasypaną. Wreszcie udało mi się spod tego ciężaru wydostać i okazało się, że wpadł na mnie tors człowieka — bez głowy, bez nóg i rąk.

Wpadł na mnie i chyba mnie ocalił, bo na to jeszcze spadł kawał gruzu i drobniejszy gruz. W każdym razie zupełnie nie widziałam na jedno oko. Dotknęłam, okolice oka miałam zmiążdżone. Byłam przekonana, że trafiła nas „szafa”. Jeżeli „szafa”, to później polecą następne pociski. Pociski z szafy mogły zburzyć nawet cały dom. Trzeba więc jak najszybciej uciekać. Wyrwałam się spod trupa i skoczyłam do drzwi wejściowych. Futryna była wyrwana i stała pod kątem. Przewróciłam się przez nią i wybiegłam na schody. Za mną biegł chłopak, też się przewrócił przez futrynę. Zbiegliśmy na półpiętro i tam dopiero żeśmy się zatrzymali. Pamiętam, że pytałam go, czy mam oko, poprosiłam, żeby zobaczył. Powiedział, że wszystko jest tak spuchnięte, że w ogóle nic nie widać. Pytałam: „Co to się stało?”. On też nie wiedział. Popatrzyliśmy po sobie i uświadomiłam sobie, że on ma tylko strzępy koszuli i spodni. Popatrzyłam po sobie: miałam kołnierzyk od bluzki, zapięcie - ale bluzki nie było, pod spodem tylko stanik, ale był cały. Od spódnicy miałam tylko wiszące od pasa strzępy, nic więcej.

Całe nogi miałam w odłamkach. Włosy miałam jak hełm. Krew z trupa utworzyła na głowie maź. Nie mogłam potem w ogóle domyc włosów. Poczułam, że mam głowę, jakąś strasznie ciężką. Trzymając się poręczy, zesłam na parter i usiadłam na pierwszym stopniu schodów. Dopiero teraz do mnie dotarły krzyki, przeraźliwe wrzaski, wycia, nawoływania. Biegali ludzie okropnie okaleczeni. To wszystko było straszne. Przybyli koledzy z ministerstwa. Jeden z nich jak to wszystko zobaczył, to pamiętam, że stał i wymiotował. Powietrze było kompletnie szare - tyle było w nim pyłu - i był straszny odór spalonej krwi, spalonego ciała z trotylem. Na wiosnę następnego roku, jak się tam szło, to było czuć ten okropny smród.

Przyszli koledzy i powiedzieli, żebym siedziała i nie ruszała się. Przynieśli wielkie panterkowe portki, niemiecką koszulę - bo mieliśmy z magazynu ze Stawek. Ubrali mnie i poszliśmy na punkt opatrunkowy. Wtedy zobaczyłam ulicę. Dom na rogu Podwala był mocno zrujnowany. Jezdnia była zasłana ludzkimi szczątkami, mazią - krwią zmieszaną z popiołem. Kości leżały wypreparowane jak w laboratorium. Na przykład kości kręgosłupa, widziałam poszczególne kręgi. Na ścianach były przyklepione mózgi, kawały mięsa. Potem przybiegli chłopcy z łopatami i wykopali doły. Na ulicę Kilińskiego wychodziła oficyna naszego szpitala

i był tam skwerek, zieleń, drzewa - tam wykopano wielkie doły. Łopatami zgarniano mięso do kubłów i tam wrzucano.

Niektóre trupy były w takim stanie, że chowano je osobno, gdy były mniej zniekształcone i ktoś je rozpoznał. Grzebano je na cmentarzyku na Kilińskiego 3. Było tam ogromne podwórze i cmentarzyk, na którym chowaliśmy naszych zmarłych Kolegów oraz zmarłych z bat. „Gustaw”. M.in. zostali tam pochowani zabici przy wybuchu czołgu – wielu z „Gustawa” i „Wigier”. Bardzo wiele osób straciło wzrok, także ci, którzy byli w oknach. Robiono spisy rannych, zaginionych, zabitych. Ile osób zginęło? 200 – może 300, może więcej? Wielu ciężko rannych, którzy znaleźli się w szpitalach, zostało później rozstrzelanych, kiedy 2 września Niemcy wkroczyli na Stare Miasto.

Kto ze stojących na balkonie, ocalał?

Basi właściwie nic się nie stało, ale była tak tym wszystkim przerażona, że półprzytomna. Jedna z koleżanek miała przeciętą twarz i została jej blizna. Bardzo często zwracano jej uwagę: „O, pani się czymś ubrudziła”. A to była blizna. Ale tak szczęśliwie, że między skronią a okiem. Chłopcy byli naszpikowani odłamkami, każdy ucierpiał. Jedyna Basia - jej się nic nie stało poza wielkim szokiem. Byłyśmy w szpitaliku trzy dni - ja i Isia Sielużycka, koleżanka z blizną na twarzy. Miałam bardzo dużo różnych odłamków i wychodziły mi jeszcze po paru latach. Drobniutkie oskolki, robiła mi się jakby krosta, swędziała - odrapałam i wychodził kawałeczek szkła czy jeszcze czegoś. Pierwsze dni miałam Bardzo czerwony, krwisty wylew w oczach. Utrzymywało mi się to jeszcze w obozie. Potem to się wszystko pogościło, bo człowiek był młody i zdrowy.

Od tego dnia nasz pluton zaczął bronić katedry. Jak mówiłam, chodziliśmy tam na dwadzieścia cztery godziny. Na czwarty dzień poczłapałam za naszym plutonem, bo chciałam już wyjść ze szpitala, chciałam być na powietrzu.

Czy w szpitalu przy ulicy Długiej byli na przykład Węgrzy?

Węgrów nie widziałam, ale Żydów węgierskich, to tak, Żydzi węgierscy byli.

Co to byli za Żydzi węgierscy?

Po powstaniu żydowskim, całe getto zostało zniszczone, wyburzone, wypalone - była tylko [wysoka] na metr warstwa gruzu. Ocalała część getta tam, gdzie były niemieckie magazyny. Niemcy mieli tam wielkie zapasy, przede wszystkim żywności, mundurów, butów - rozmaitych sprzętów potrzebnych w wojowaniu. Były też warsztaty, które pracowały dla Niemców. Nie było w nich już właściwie polskich Żydów, może było niewielu, tego nie wiem. W każdym razie przeważnie byli to Żydzi węgierscy i, zdaje się, greccy. Jak nasze oddziały odbiły Żydów z getta to oni chcieli walczyć, pomóc i zostali przydzielani do batalionów. Nam też przydzielono kilkunastu Żydów i pracowali w kuchni. Gotowali okropne zupy. Ponieważ chodziłam tam czasem po zupę dla naszego plutonu, czasem zjadło się na miejscu, zaczęłam rozmawiać z Żydem. Mówił, że pochodzi z Węgier i że jest inżynierem. Oczywiście rozmawialiśmy po niemiecku.

Żydzi zajmowali się chowaniem zmarłych, bo codziennie w szpitalu umierało kilka lub kilkanaście osób, Czasem to byli zupełnie nieznanymi ludźmi. Rano, jak się wyszło na podwórze, to niedaleko okien kuchni leżały trupy. Kilka - pięć, sześć — przykrytych gazetami i czekały, aż Żydzi je pochowają. Poza tym Żydzi byli używani do prac administracyjnych. Stale były pożary. Niemcy rzucali bomby burzące, bomby zapalające. Bombki zapalające były małe, ale rzucali tego dużo, z fosforem i to się okropnie paliło. Nie było dnia, żeby nie palił się dach w ministerstwie. Wtedy trzeba było lecieć, zasypywać piachem, lać wodą. Wysyłało się Żydów, ale oni się okropnie hali. Tak, że nie bardzo chętnie uczestniczyli w takich akcjach. Zresztą miałyśmy z nimi takie przeprawy. [...]

Jakie to były przeprawy?

Uciekli nam. Po przebiciu wyruszyliśmy na poszukiwanie rannych. Jak wiadomo, przebicie się nie udało. Było wiciu poległych, wielu rannych, którzy zostali w gruzach, nie wiadomo gdzie. Wobec tego sanitariuszki wyruszyły na poszukiwania. Myśmy odszukały naszych kolegów. Pierwszego, którego znalazłyśmy, to same przytaszczyłyśmy z bardzo daleka. Przede wszystkim nie szło się normalnie ulicą, bo były same leje, dziury, pełno żelastwa. Do tego był ostrzał albo naloty. Chodziło się przez podwórza albo przez piwnice. Ale piwnicami nie lubiłyśmy chodzić, bo był zaduch, smród, pełno ludzi. Jak tylko zobaczyli sanitariuszkę czy żołnierza, to wypytywali: „Co? A jak? A co się dzieje?”. Chcieli się dowiedzieć, ale co można było tym ludziom dobrego powiedzieć. Przecież z dnia na dzień było gorzej. Cały teren Starego Miasta był coraz mniejszy, kurczył się. Były coraz większe naloty, ginęło coraz więcej ludzi, było coraz gorzej. Ja unikałam chodzenia przez piwnice.

Wolałam chodzić przez podwórka. Jak była oficyna łącząca dwa podwórza, to na parterze było otwarte okno. Przystawiano deski, krzesła, stoły, na które się wchodziło. Przechodziło się przez mieszkanie i z drugiej strony znowu były stoły, dechy i przechodziło się na podwórze następne. Nieść rannego na noszach nie było łatwo taką drogą. Pierwszego kolegę przyniosłyśmy same i miałyśmy iść po drugiego, który był opatrzony i leżał w sanitariacie gmachu Banku Polskiego. Byłyśmy strasznie zmęczone. Wobec tego przydzielono nam do pomocy czterech Żydów i kolegę Adama (który był ranny w rękę i nie mógł brać udziału w [walkach]) z rewolwerem, żeby Żydów pilnował. Żydzi nie chcieli iść. Z miejsca mówili, że oni nie pójda. Wydawało im się, że jak wyjdą z ministerstwa, to tam już koniec świata i tam zginą. Ledwie żeśmy wyszli, patrzymy - już dwóch Żydów nie ma a pilnowaliśmy ich. Nie ma, zginęli. Tych drugich prowadziliśmy przed sobą i doszliśmy do [ulicy] Daniłowiczowskiej. Była tam brama, przez którą trzeba było przejść. Wtedy Żydzi się zbuntowali i powiedzieli, że oni absolutnie dalej nie idą. Bo rzeczywiście, wszystko tam wyglądało nieciekawie. Wobec tego zostawiłyśmy ich w bramie z Adamem i poszliśmy po swojego kolegę. Odszukałyśmy go, przyniosłyśmy i w powrotnej drodze Żydzi pogodzili się z losem, że muszą nam pomóc. Wzięli nosze i przynieśli je do ministerstwa. Tak było, nie chcieli iść, bali się.

W kuchni czy przy pogrzebach pomagali. ..

Oczywiście, pomagali. Ale to było śmieszne z tymi Żydami, jak nam uciekali. Adam się denerwował i nic mógł ich powstrzymać.

Chłopak, hory zmarł 7 sierpnia, to była pani sympatia?

Tak.

Czy po wojnie odnalazła pani jego grób?

Z grobem było tak, że ci, co umarli w Szpitalu Maltańskim, byli pochowani pod nowo budowanym domem. Były filary, na których wspierała się cała konstrukcja nowego domu i pod spodem był piach. W tym piachu chowano. Kiedy wróciłam po wojnie i poszłam tam zobaczyć, okazało się, że w ogrodzie za pałacykiem (w nim był szpital maltański) znajduje się na środku wielki grób. Jak Niemcy zajęli pałacyk, to kazali wszystkich ekshumować i pochować w jednej, wspólnej mogile. Bardzo długo ten grób nie był ekshumowany. "Wiele osób, w tym ja, na sąsiednich drzewach zawieszało tabliczki z nazwiskiem. Potem zaczęto ekshumować ze wszystkich dzielnic Warszawy. Natomiast ten grób był bardzo długo pozostawiony na miejscu. Potem okazało się, że grób zniknął. Przeniesiono go na Wolę, na cmentarz... Zgłosiłam się oczywiście do Czerwonego Krzyża,

żeby mi wskazali, w którym grobie [leży]. Okazało się, że nie prowadzili żadnej ewidencji, a przecież było tam tylu zmarłych. Na tym cmentarzu pochowali wszystkich razem, nie wiadomo nawet w którym grobie.

Największa tragedia w czasie Powstania?

Jak weszli Niemcy i rozstrzelali ciężko rannych w szpitalu.

Czy pani się dowiedziała, że powstańcy ze Starego Miasta wycofują się kanałami?

Wycofanie kanałami było 1 września. [Dowiedziałam] się, bo też miałyśmy iść. My z Basią czekałyśmy na wejście do kanału. Ale w ciągu nocy zrezygnowałyśmy. Wróciłyśmy do naszych rannych. Dowiedziałyśmy się, że szpital na Długiej 7 jest bez żadnej opieki, ranni leżą po ciemku, zdenerwowani - nie wiedzieli, co ich spotka. Wiedzieli, że rano wejdą Niemcy, [ale nie wiedzieli], co się z nimi stanie. Żadnej opieki, nikogo. Został tylko jeden lekarz i kilka siostr. Wszyscy opuścili [szpital]. My zgłosiłyśmy się do naszego dowódcy, że chcemy zostać z ciężko rannymi. On nam nie pozwolił. Powiedział, że Powstanie się jeszcze nie skończyło, że sanitariuszki będą potrzebne również w Śródmieściu i nie pozwolił. Tylko jedna z naszych sanitariuszek dostała pozwolenie, żeby zostać. Ale ona była, że tak powiem, na specjalnych prawach - była kuzynką dowódcy, w tym oddziale było też dwóch członków rodziny. Była trochę faworyzowana. Ale my, dowiedziawszy się, jaka jest sytuacja, postanowiłyśmy z Basią jednak wrócić.

Pani tam stała i szykowała się do zejścia? Była kolejka?

Tak, [czekałyśmy] na wejście do wjazdu. Po drugiej stronie ul. Długiej był wypalony dom i cała piwnica była pełna ludzi. Siedzieliśmy i czekaliśmy na wejście do wjazdu. Niemcy byli już wtedy w ogrodzie Krasińskich. Wjazd był prawie stale pod ostrzałem. [Dlatego] cała ewakuacja trwała strasznie długo. Zresztą pchali się ludzie postronni, za wszelką cenę chcieli się dostać do kanału. Ci, którzy wpuszczali do kanału, czasem toczyli walkę z tymi ludźmi, żeby nie dopuścić ich do wejścia. Ustalili, że schodzi oddział po oddziale. Czekaliśmy po prostu na swoją kolejkę w wypalonym domu. Pamiętam, że ściany były ciepłe. Dwie doby żeśmy w ogóle nie spały, nie jadły, byłyśmy kompletnie wymęczone, oparte o ciepłe ściany drzemałyśmy i czekałyśmy na wejście. Wtedy jakiś chłopak wpadł do piwnicy i opowiada, że poszedł się pożegnać ze swoim przyjacielem, który jest ciężko ranny i musi zostać w szpitalu. Zaczął opowiadać, że szpital jest kompletnie ciemny, że nie widział ani jednej pielęgniarki, że ci chłopcy leżą tam zupełnie sami, zdenerwowani. Co ich spotka? Myśmy popatrzyły po sobie z Basią i w jednym momencie zdecydowałyśmy, że wracamy. Chociaż nasi chłopcy leżeli w lepszych warunkach, ale mimo wszystko. [...]

Broniliśmy katedry. Walki były bardzo ciężkie. Przede wszystkim domy na placu Kanonii zostały wypalone, nawet myśmy je częściowo wypalili. Niemcy atakowali od strony zamku i od strony Wisłostrady przez domki Kanonii. Walki toczyły się potem już w samej katedrze. W poprzek katedry była barykada, po jednej stronie byli Niemcy, po drugiej byli nasi. Pamiętam, jak 27 sierpnia była msza, którą odprawiał nasz kapelan, ojciec Tomasz Rostworowski - nadzwyczajna postać, był wniosek o kanonizację ojca Tomasza. W każdym razie odprawiał mszę w piwnicy szpitalnej między naszymi rannymi. Oczywiście zeszło się bardzo dużo żołnierzy. Jak zawsze wygłosił wspaniałe kazanie i zakończył, że wzięliśmy do ręki miecz, a teraz musimy wziąć krzyż. Ponieważ to była niedziela, było dość spokojnie. Nasz spec od spraw, że tak powiem, rozrywkowych zorganizował ognisko. Były śpiewy, deklamacje, czerwone grzane wino, więc atmosfera zrobiła się bardzo przyjemna.

Wtedy przybiegła Krystynka. Była z 1. kompanii na Jezuickiej - po drugiej stronie ulicy mieli swoje miejsce kwaterowania. [Powiedziała], że sytuacja jest bardzo ciężka i żeby dwie sanitariuszki przyszły na pomoc. Zdecydowałyśmy się z Basią iść. Utkwiło mi to w pamięci,

widzę ten obraz. Szliśmy przez ciemne, czarne ulice i potem wychodzimy na Rynek. Jedna strona Rynku w płomieniach. Trzaskające do góry fontanny iskier, zmieniające się kolory ognia i oświetlone wielkie niewypały, które leżały na środku Starego Rynku. Kamienica na rogu [ulicy] Celnej i Jezuickiej była zawalona. Przejście było zasypane gruzami. Na wierzchu leżały drewniane bale - część z nich się paliła. Przeskakiwaaliśmy przez bale, żeby ominąć płomienie. Przedostałyśmy się na Jezuicką i pobiegłyśmy do katedry. Potem okazało się, że trzeba było nawet podpalić zakrystię (która do tej pory była nienaruszona), po to, żeby powstrzymać Niemców. Wtedy opuściliśmy katedrę na zawsze.

Jak katedra zaczęła płonąć, 16.08.44, to mnie nie było, byłam na drugiej zmianie. Były dwie moje koleżanki. Jak wiadomo, w katedrze jest Cudowny Chrystus w lewej nawie. Koleżanki przebiegając, zauważyły, że na ołtarz wszedł ksiądz i usiłuje zdjąć Cudownego Chrystusa. Nie było łatwo go odmontować od krzyża, więc one podbiegły, pomogły mu i Chrystusa zdjęto. Basia opowiadała, że przyglądała się włosom, które podobno rosły tej figurze. W każdym razie Cudowny Chrystus został przez nie zdjęty i przeniesiony do bramy. Odmontowano ręce i potem został piwnicami przeniesiony w bezpieczniejsze miejsce na [ulicę] Freta... tam byli chyba dominikanie. Tam przetrwał całą wojnę i dopiero gdy odbudowali katedrę, został przeniesiony na dawne miejsce. Jak nieśli figurę piwnicami, ludzie płakali, klękali. Do przeniesienia Chrystusa przyznało się już pięć osób.

A kto go przeniósł?

Moje dwie koleżanki pomogły go zdjąć księdzu Karłowskiemu - tak się chyba nazywał - i rozmontować. A potem przenieśli go inni żołnierze, ale one pomogły zdjąć z krzyża.

Katedrę opuściliśmy na dobre. Potem z dnia na dzień było już coraz bardziej tragicznie. Pamiętam, że dni były zawsze piękne, jak na złość w ogóle nie chciało wtedy padać. Miejsce postoju mieliśmy w bramie na Jezuickiej 1, tuż przy katedrze. Przed [bramą] na skos nasi chłopcy zbudowali barykadę. Z bramy wchodziło się do kuchenki, dalej był pokój i tam żeśmy gospodarowali. Pamiętam ten pokój - stał tapczan i były same sprężyny bez pokrycia. Tam żeśmy przysypiały, jak było trochę spokojniej. Był taki moment, że było bardzo ładnie, jak zawsze ciepło, z sąsiedniego stanowiska 1. kompanii przyszła do nas koleżanka Krystynka. Siedziałyśmy za tą barykadą i nawet trochę się opalałyśmy. W pewnym momencie słyszemy ryk motorów, bo oni bardzo nisko latali. Wobec tego wszyscy się zrywają, chłopcy z barykady też i wpadamy do kuchenki. Biegnie ostatni chłopiec i krzyczy: „Bomba w bramie!”. Oni rzucali bomby z opóźnionym zapalnikiem, bo tuż obok byli Niemcy. Dlatego bardzo musieli uważać, gdzie bombardują. Okazało się, że ten chłopak biegnąc przeskoczył tą bombę, nie była taka duża. Za chwilę okropny huk, słyszemy, że sypią się dachówki. Czarno, bo momentalnie sadze wypadają z pieca. Wszyscy czarni jak Murzyni. Wstajemy - nikomu nic się nie stało. Wszystko stoi na swoim miejscu i za chwilę znowu okropny huk motorów. Leci samolot i strzela. Oni strzelali z karabinów maszynowych, to były wielkie pociski. Tylko było słychać grad pocisków po ścianach. Wreszcie odlecieli. Właściwie nic specjalnego się nie stało, tylko brama ucierpiała i powstał nowy dół. W każdym razie nasz kolega przeskoczył przez bombę.

Wycofaliśmy się z katedry. 28 sierpnia był tragiczny dla naszego oddziału. Skierowali nas na Rybaki i na Brzozową. Na Rybakach trzech koledzy zostali ranni: Adam, Tadzio i... Roch. A na Brzozowej został ranny „Sokół”. Było dwóch przyjaciół, naszych najmłodszych kolegów. Mimo ostrzeżeń jego kolega rzucił się go ratować. Był ostrzał i dowódca ostrzegła, żeby nie biegł. On jednak pobiegł, żeby go ratować, i też dostał. Wyciągnęliśmy ich obu i przenieśliśmy do naszego szpitala. Okazało się, że są w takim stanie, że właściwie nie ma możliwości im pomóc. Obaj zmarli prawie jednocześnie. Ci dwaj siedemnastoletni chłopcy zostali pochowani w jednej mogile i jednej trumnie.

Jaki miał pseudonim drugi chłopak?

„Massalski”. Jeden był „Sokół”, a drugi „Massalski”. „Massalski” pobiegł ratować „Sokoła”. „Sokół” dostał w nerki, nie było możliwości, żeby go ratować.

30 sierpnia mieliśmy dzień wolny, odpoczynek. Nasi chłopcy siedzieli na słońcu przed papiernią, czyścili broń. Myśmy spełniały różne prośby. A to otarta noga, a to: „Proszę koleżanki guzik się urwał”. Koledze szyłam furazerkę ze strasznie twardego materiału na panterki. Zauważyliśmy dziwny ruch. Widać było, że przybiegali jacyś gońcy, od nas [też] biegli. Nasze medyczki w aptece, szykowały pakunki opatrunków, przybiegały sanitariuszki, wydawano leki, opatrunki. Widać było, że coś się szykuje. Wieczorem porucznik „Prokop” zarządził, żeby nikt nie opuszczał papierni, że nie wolno nam wychodzić. W międzyczasie podeszła do nas –do mnie i do Basi- jedna z naszych medyczek i powiedziała nam, że w nocy będzie akcja i [spytała], czy chcemy iść razem z chłopcami. Powiedziałyśmy, że oczywiście tak. [Powiedziała], żebyśmy przygotowały swoje torby sanitarne.

Potem przyszedł porucznik „Andrzej”. Była zbiórka, odliczanie, sprawdzanie ilości broni. Myśmy się ustawiły jak zawsze na końcu całego szeregu żołnierzy. A potem zwrócił się do nas: „A wy, czy macie pozwolenie od porucznika „Prokopa”?” - on był naszym [przełożonym]. Mówimy, że nie, ale zostałyśmy wybrane, żeby iść. „A, to ja was nie mogę zabrać”. Byłyśmy zdruzgotane. Chłopcy wyszli, a myśmy zostały. Pobiegłyśmy szukać „Prokopa”, ale gdzieś przepadł, zapadł się pod ziemię. W międzyczasie ogłoszono, żeby sanitariuszki przygotowały łóżka rannych, że będą ich przeprowadzać. Było jasne, że będzie przebiecie. Mają iść żołnierze, otworzyć przejście, potem ma iść reszta wojska, która nie brała udziału w działaniach. Dalej mieli przejść ranni i sanitariat, a na końcu nawet ludność cywilna.

Dzień i godzina przebiecia były tak wielką tajemnicą, a okazało się, że cała ludność Starówki została powiadomiona.

Na ulicy Kilińskiego, na ulicy Długiej były takie tłumy, że nie można się było precyzyjnie. Nasi żołnierze nie mogli przejść, a co dopiero my. Wobec tego polecono nam, żebyśmy organizowały łóżka rannych i prowadziły ich w stronę ulicy Daniłowiczowskiej. Przebiecie miało być przez ulicę Bielańską, [ulicę] Senatorską do Śródmieścia. Tak miała być utworzona droga ewakuacji.

Basia została wysłana po jakieś papiery i stwierdziła, że nasi chłopcy siedzą w bramie na ulicy Długiej i czekają co dalej. Myśmy chciały do nich dołączyć, ale -jak mówię - polecono nam organizować wymarsz rannych. Szłam z trzema kolegami z „Wigier”. Pochód rannych sunął bardzo wolno. Cywile zabierali nawet ciężko rannych na noszach, bo tym sposobem chcieli jak najszybciej przedostać się do Śródmieścia. Ulica Długa miała w pewnym miejscu bardzo wysoką barykadę ułożoną z płyt chodnikowych. Przejście było tam bardzo wąskie. Przejście tłumy ludzi z noszami, z rannymi przez taką małą przestrzeń było właściwie prawie niewykonalne. Wszystko trwało strasznie długo. W końcu dostaliśmy się na plac Krasieńskich. Przeszliśmy dalej, siedliśmy w bramie na ulicy Długiej i czekaliśmy, co będzie.

Noc była spokojna. Od czasu do czasu światła reflektorów, jakieś strzały, ale tu było zupełnie spokojnie. Dziwiliśmy się, że się nic nie dzieje. Czas mijał godzina za godziną a właściwie nic się nie działo. „Dlaczego nie atakują? Dlaczego nie ma tego przebiecia?”. W pewnym momencie świst pocisków. Pociski poleciały na tłumy zgromadzone na placu Krasieńskich, na ulicy Długiej - na cywilów, na rannych. Niesamowita panika, ludzie porzucali nosze z rannymi i uciekali. W tym wielkim zamieszaniu jakimś cudem trafiłam na Basię, która klęczała na placu Krasieńskich koło noszy naszego kolegi Tadzia i osłaniała go przed stratowaniem. Chwyciłyśmy nosze i oczywiście wróciłyśmy na Długą 7 - do szpitala. Nic nie było wiadomo, co się właściwie stało. Nastął ranek 31 sierpnia i nie było u nas żadnego oficera, nikogo, kto by powiedział, gdzie są Niemcy, gdzie są Polacy, jaki przebieg miała

akcja. Wreszcie pojawił się nasz kolega „Saski”. Był ranny w rękę i opowiadał, że przebicie się nie udało, całą akcję zaczęli bardzo późno — dopiero jak już świtało. Ulica Bielańska była zaryglowana przez Niemców karabinami maszynowymi, tak że przejście było niemożliwe. Powiedział, że dużo jest rannych, zabitych i konieczna jest pomoc sanitariuszek. Trzeba poznać rannych, nie wiadomo, gdzie są Niemcy, gdzie Polacy. Kilka z nas pochwyciło nosze. Wyruszyliśmy z Basią z noszami na poszukiwanie rannych. „Saski” szedł razem z nami. [...] Przypuszczał, że możemy ich znaleźć w Banku Polskim. Dotarliśmy tam. Gmach miał okropnie grube mury. Kompletne ciemności, korytarzyki, przejścia, pełno ludzi; pod nogami pełno rupieci, przez które żeśmy się przewracali -trzymaliśmy się za ręce, żeby się nie pogubić. Wreszcie wyszliśmy na małe podwóreczko. Okazało się, że sanitariat jest na pierwszym piętrze. Żeby się tam dostać, na (bardzo wysokie przecież) pierwsze piętro, trzeba było wejść po chybocącej się na wszystkie strony, wąziutkiej drabinie. Jak po tej drabinie wynieść rannego? W każdym razie weszliśmy na górę, tam znowu ciemności. Sanitariuszka powiedziała nam, gdzie mamy się skierować. Biegaliśmy, wołaliśmy: „Wigry! Wigry!”, żeby się ktoś odezwał. Odezwał się nasz ranny kolega Stasiuk. Był zabandażowany cały po uda - był ranny w nogi. Mówimy, że chcemy go zabrać do naszego szpitala, a Stasiuk powiedział, że nie, absolutnie, jest zabandażowany i może poczekać, mimo że Niemcy byli już o krok. Powiedział natomiast, że w ruinach na Bielańskiej został ranny nasz kolega Kański i że oczekuje tam pomocy.

Wyszliśmy wtedy na ulicę Daniłowiczowską. Był tam krajobraz księżycowy. Same ruiny, całe ulice zasłane gruzem. Trudno się było zorientować, gdzie jest ulica. Dotarliśmy do wejścia do więzienia na [ulicy] Daniłowiczowskiej. Stało tam dwóch chłopców. Z daleka dawali nam znać, żebyśmy szły cicho, bo Niemcy mogli być w najbliższych ruinach. Zapytałśmy, czy nie widzieli gdzieś tutaj rannego. Powiedzieli, że słyszeli jęki, więc ranny musi gdzieś tu być. Żeby dostać się do następnego budynku, była duża odkryta przestrzeń. Była niska, ułożona naprędce barykadka z cegieł i wszędzie rozsypane cegły. Jak się człowiek czołgał, to kaleczył nogi, ręce. W każdym razie przepełzaliśmy za barykadką do tego domu, skoczyliśmy do piwnicy. Biegamy po salach - wszystko było bez sufitu, same ruiny, wszystko popalone. To była chyba fabryka. Na gruzach było pełno starych, spalonych maszyn, żelastwa. Z nami pobiegł także kolega „Saski”. Nawołując, znalazłyśmy Edzia, naszego kolegę.

Leżał na kupie gruzu i żelastwa, w pokrwawionej panterce. Powiedział: „Wreszcie przyszłyście. Myślałam, że już mnie nikt stąd nie zabierze”. Basia oglądała głowę, ja przecięłam panterkę. Zobaczyłam, nie ma żadnej poważnej rany, raczej jest naszpikowany odłamkami. Zrobiliśmy prowizoryczny opatrunek, [włożyliśmy] na nosze i z powrotem z Edziem. Stracił wtedy oko, dostał odłamek w oko. Przeniosliśmy go przez zasypane pomieszczenia, ale trzeba dostać się do piwnicy. Zeskoczyłam do piwnicy, stałam na usypisku z gruzu, a Basia zsunęła Edzia z noszy i podawała mi w ręce. Chwyciłam go, nogi mi się na usypisku rozjechały i mało się tam z nim nie wywróciłam. W ostatnim momencie wyhamowałam. Potem musiałyśmy przejść przez piwnice i znowu położyć go na noszach i przez dziurę w ścianie wysunąć go za barykadę. Trochę nam jedną ręką pomógł „Saski”. Trzymał ze mną nosze. Basia się wysunęła, położyła się za barykadę i ciągnęła. Za barykadą sunęliśmy na drugą stronę otwartego placu. Z prawej strony przestrzeń była otwarta - to była strona Teatru Wielkiego.

Niemcy mogli być tam wszędzie. Musieliśmy bardzo uważać, żeby się nie wychylić. To było trudne, bo w końcu wszyscy byliśmy zdenerwowani, napięci, okropnie zmęczeni.

Wymyślałyśmy sobie ciągle z Basią. Ona się ciągle wypinała, więc krzyczałam, że ją ustrzelą, Ona znowu, że ciągnę zbyt mocno i miażdżą jej ręce. W każdym razie przejechałyśmy z noszami za barykadę. Potem na raz, dwa, trzy - zrywamy się, żeby dobiec do domu. Wtedy Basia się gdzieś zaplątuje, upadła. Jakoś wylądowałam za murem i wtedy po ścianie posypały

się strzały, posypał się pył ceglany. Ale byliśmy już za [murem]. Potem niosłyśmy Edzia w dwie straszna drogą. Zaczepiłyśmy kilku mężczyzn, ale nikt nam nie chciał pomóc. Co chwila były naloty, chowałyśmy się... do bram. Zasłaniałyśmy kolegę, żeby pył czy coś innego na niego nie poleciało. On był potem już prawie nieprzytomny. Chwyciłam za kark jakiegoś dziadka, który gotował kluski, i przyprowadziłam, żeby pomógł nieść. Nam już ręce popuchły. Ale dziadek nam zaraz uciekł. Musiałyśmy Edzia donieść same. Potem, żeby wrócić po Stasiuka do Banku Polskiego, przydzielono nam tych czterech Żydów, z których dwóch uciekło, a dwóch zostawiłyśmy po drodze. Ale pomogli nam przynieść rannego.

Czy ci ranni przeżyli Powstanie?

Kański przeżył - ten bez oka. Potem był znanym profesorem. Stasiuk zginął rozstrzelany przez Niemców. Nasz dowódca dołączył do „Zośki” i razem z żołnierzami „Zośki” przedostali się do Śródmieścia. Natomiast jego adiutant „Leszek” poległ wtedy. [...] Ponieważ zginęło tylu ludzi i cała akcja się nie udała, 1 września zarządono, że wojska wycofają się kanałami. [...]

Myśmy w nocy zdecydowały, że wrócimy. Wróciliśmy do naszego szpitalika na Kilińskiego 1. Było tam naszych trzech kolegów i był „Ikar” z „Zośki” — opiekowała się nim Wisia, nasza koleżanka. Oprócz tego była pani Faryaszewska, której córka razem ze swoim kolegą zabezpieczała na Starym Mieście przedmioty sztuki. Oboje polegli. Żona kolegi też była ranna i opiekowała się nią pani Faryaszewska. W piwnicy było więc czterech rannych, piąta ranna była Kazia, Wisia i pani Faryaszewska. Była godzina pierwsza lub druga w nocy i byliśmy strasznie zmęczone. Bardzo się cieszyli, że myśmy wrócili, ale padałyśmy z nóg. Poszłyśmy na piętro do mieszkania profesora Hempla, żeby się choć troszkę przespać.

Wiadomo było, że Niemcy swoje działania zaczynają o szóstej. Obudziłyśmy się przerażone, że już jest widno, a my tu śpimy. W mieszkaniu było mnóstwo różnego sprzętu; panterki, plecaki, najrozmaitszy sprzęt, który się poniewierał. Gdyby tylko ktoś wszedł, mógłby się zorientować, że ranni leżący w piwnicy mają z tym wszystkim coś wspólnego. Postanowiłyśmy to wszystko jak najszybciej usunąć. Nie było się w co przebrać. Basia przebrała się w sukienkę dziecinna przed kolana, ja w spódnice Basi z okropną dziurą. Dla przyzwoitości okryta byłam prześcieradłem. Wszystkie sprzęty ładowałyśmy do worów, wyniosłyśmy na przeciwną stronę ulicy Podwale i wrzuciłyśmy do zbombardowanego domu, do dziury po bombie. Jak wracałyśmy, to zauważyłyśmy, że od strony Placu Zamkowego idą Niemcy. Prędko przybiegłyśmy, żeby powiedzieć o tym naszym kolegom. W tym czasie jeden z Niemców wszedł na podwórze i zaczął wrzeszczeć. Był tam korytarz i wejście do piwnicy wychodziło na podwórze. Drzwi były trochę dziurawe. Stałam tam i obserwowałam tego Niemca, jak wchodzi na podwórze i coś wrzeszczy. Wobec tego otworzyłam drzwi, a on się pyta: „Czy tu są ludzie?”. Mówię: „Oczywiście, są ludzie”. On mówi: „Natychmiast mają wychodzić!”.

Za mną stało już parę osób, wszyscy się zorientowali, że trzeba wychodzić. Straszne zamieszanie. Jedni lecieli na górę, inni mieli już manatki popakowane w piwnicy. Wychodzili, prowadzili dzieci, starców - w parę minut dom kompletnie opustoszał. Zostałyśmy my i ranni w piwnicy. Potem na podwórze weszło kilku Niemców. Podeszłam do nich i mówię, że tu w piwnicy mamy pięcioro rannych i czy oni mogą zostać. „Ale w żadnym wypadku! Za dziesięć minut muszą wyjść, bo kto zostanie, ten będzie rozstrzelany, a domy będą spalone”. Myślę sobie - Co, zwariowali? Domy jeszcze spalone? Wyszłam na ulicę, a tam na chodniku stało trzech starszych podoficerów. Podeszłam do nich i mówię, jaka jest sytuacja, że są ranni i czy mogą tam zostać. Jeden z nich mówi do mnie: „Nie, nie mogą zostać. Muszą być wyniesieni. Dobrze wam radzę, bierzcie swoich rannych i idźcie razem z ludnością cywilną”. Wiedział, co nas czeka. Mówię: „No tak, rannych jest pięciu, a nas jest tylko trzy”. Rozłożył bezradnie ręce, że już nic nie może nam poradzić. „Ale musicie ich

stamtąd zabrać". Wróciłam do piwnicy, do naszych rannych i mówię do Basi, jaka jest sytuacja. Postanowiłyśmy pójść do ministerstwa, żeby zasięgnąć rady, co robić. Na podwórzu ministerstwa spotkałyśmy ojca Rostworowskiego. Było wiadomo, że teraz już nie będzie ostrzału, nie będzie bombardowania, więc w ministerstwie na parterze i na piętrze będzie można ulokować rannych. Tym bardziej że nie było domu, żeby nie było rannych leżących po piwnicach. Z księdzem zdecydowaliśmy, że rannych przeniesiemy do gmachu ministerstwa przy Długiej 7. Kobiety zaraz chwyciły za szczotki, zaczęły zamiatać sale, bo wszystko zakurzone, zasypane gruzem. Myśmy wróciły do naszego szpitala na Kilińskiego 1 i po kolei wynosiłyśmy naszych chłopców - Stasiuka, Roberta i Tadzia Klechę. Czwartego wyniosłyśmy „Ikara”. Razem z nim wyszła Wisia, która się nim opiekowała. Potem wyniosłyśmy ranną Kazię i razem z nią wyszła pani Faryaszewska, która też była ranna w nogę.

Przeniesienie nie było łatwe. Ulicą Podwale płynęła fala ludzi. Trzeba się było przepychać przez idących, potem wejście było po schodach od ulicy Podwale. Szło się przez podwórze na Długą 7. Chłopców przeniosłyśmy na pierwsze piętro, w drugiej sali, jak najdalej od wejścia. W międzyczasie zaczęło do szpitala napływać mnóstwo rannych. Zgłaszały się rodziny, kobiety, które miały swoich bliskich. Ofiarowały się zostać i pomagać w szpitalu. Ubierały się w białe fartuchy. Chodziło o to, żeby stworzyć pozór, że ten szpital istnieje i może istnieć. Wszystkich przeniosłyśmy na górę i wtedy szpital zaczął się organizować. Sale zapełniły się rannymi, tak że trudno było nawet przejść, ale zaczęły przybierać wygląd normalnego szpitala. Na środku był ustawiony stolik, krzesła. Kobiety w białych fartuchach zaczęły myć rannych. Stwarzało to pozór, że szpital działa. Myśmy nie wiedziały, co ze sobą zrobić. Pomyślałyśmy, że nie wiadomo, jak długo tu zostaniemy i może trzeba postarać się o jakieś jedzenie, zaopatrzenie. Wobec tego Wisia i pani Faryaszewska zostały na górze z rannymi, a myśmy z Basią pobiegły na zwiady.

W międzyczasie jacyś Niemcy dali nam duże pudełko papierosów *fur* Kranken, inny znowu butelkę wina. Między nimi było dużo Ślązaków. Jeden z nich zaprowadził nas na Kilińskiego 5 — był tam gabinet stomatologiczny, sanitariat. Było bardzo dużo opatrunków i mówił, żeby to zabrać, bo się zniszczy, bo się spali, a przyda się dla rannych. Pytałyśmy ich, jak to będzie, co się stanie ze szpitalem. Nie wiedzieli — może zostanie, a może ranni zostaną ewakuowani. Wróciłyśmy i poszłyśmy szukać w magazynach, czy nie ma czegoś do jedzenia. Znalazłyśmy białe fartuchy, w które żeśmy się ubrały, i opaski Czerwonego Krzyża — jak się okazało, były bardzo ważne. Znalazło się tam sporo słodczy. Popakowałyśmy to do walizeczki i wróciłyśmy do naszych rannych. Niemcy wchodzili, wychodzili. Ciągłe się zmieniali, chodzili po salach, ale właściwie nie interweniowali. Chodziły pogłoski, że kogoś rozstrzelali na parterze, ale na piętro to nie dochodziło, nie było słyhać o żadnych aktach przemocy. Przez okno widziałyśmy, jak ksiądz Rostworowski i nasz lekarz rozmawiają z coraz to innymi oficerami, którzy pojawiali się na tym dużym podwórzu. Zeszłyśmy na dół i spotkałyśmy ojca Rostworowskiego. Był strasznie blady i roztrzęsiony. Mówi, że na Kilińskiego 3 w piwnicach leży kilkunastu rannych. Są zupełnie sami, nikt się nimi nie [opiekuje], nikogo przy nich nie ma. Chciał ich bronić, bo Niemcy chcieli ich rozstrzelać. W każdym razie mówi: „Chodźcie, może wy coś zdołacie zrobić”.

Spod trupa leżącej kobiety wyciągnęłyśmy nosze i razem z księdzem Rostworowskim pobiegłyśmy na Kilińskiego 3. Przechodziło się przez podwórze Kilińskiego 1, bo front Kilińskiego 3 był zawalony od bomby. Na końcu bardzo długiej oficyny stała grupa Niemców. Ksiądz Tomasz podprowadził nas tam i sam zaczął z nimi rozmawiać. Myśmy weszły do korytarza. Szłyśmy długim korytarzem. Po lewej stronie były pootwierane drzwi do mieszkań. Niemcy płądrowali, szukali, otwierali biurka, szafy. W każdym razie na końcu korytarza była mała kuchenka i w niej leżało trzech rannych. Jeden był bardzo ciężko ranny. Miał nogi zabandażowane aż po uda, ręka na „samolocie”. Drugi leżał na łóżku, trzeci na

ziemi na materacu. Jednocześnie w tej kuchence było - ku naszemu zaskoczeniu - trzech Niemców. Jeden bardzo wysoki, miał postawę boksera wagi ciężkiej (był chyba starszym podoficerem) i dwóch młodych żołnierzy. Pyta się nas, po co myśmy tu przyszły. Mówię: „Jak to, po co myśmy przyszły? Przecież dom się pali - bo cała góra się paliła — rannych trzeba wynieść. Po co mają zginąć śmiercią w płomieniach?”. On mówi: „Nie grozi im spalenie. To są bandyci. Za chwilę zostaną rozstrzelani”. My miałyśmy się wynosić, jeżeli nie chcemy oglądać tego widoku. Myśmy nie miały ochoty się wynosić, więc wdałam się z nim w wielką dyskusję. Zaczęłam mu tłumaczyć, że to są ludzie [ranieni] od bomby, że to moi znajomi, którzy tu mieszkali w sąsiednim domu. On nie chciał nic słyszeć: „U was wszyscy spod gruzu, wszyscy spod bomb”. Chwycił pistolet, podskoczył do rannego leżącego na łóżku, przystawił mu do twarzy i krzyczy: „A wyście z tego do nas strzelali, to wam zrzucali z samolotów”.

Chłopcy leżeli jak skamieniali, w ogóle nie reagowali. Znowu zaczęłam apelować do honoru niemieckiego żołnierza. W pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że nic [nie wskóram]. To się strasznie przeciągało, z dwadzieścia minut trwała dyskusja. Basia usłyszała, że załamuje mi się głos, nie wiedziałam, co mam więcej mówić. Po buzi popłynęły jej łzy. Niemiec się odwrócił i pyta: Warum weinen Sie? Ogarnęła mnie wtedy okropna wściekłość. Mówię: „Ona wcale nie płacze. Widzi pan, dom się pali, dym jest i ją szczypie w oczy”. A tam ani trochę dymu nie było. Niemiec zbaraniał, popatrzył i potem zaczął się okropnie śmiać. Żołnierze również. W pewnym momencie śmiech się załamał. Chwila ciszy, popatrzył, zmienił się na twarzy i mówi: „Jesteście bardzo dzielne dziewczyny. Zabierzcie waszych rannych”. Pierwszego na nosze wzięłyśmy tego z „samolotem”.

Ciągle przychodziły tam inne grupy żołnierzy i pytali, gdzie są bandyci. Rannego prędko zaniósłszy do bramy na Długiej 7 i zostawiłyśmy go w bramie na materacu, żeby prędzej wrócić. Potem wróciłyśmy po tego drugiego. Trzeci zerwał się z posłania, chwycił Basię za ramię i skacząc na jednej nodze (bo był ranny w nogę), dotarł z nami na Długą 7.

Wtedy pobiegłyśmy na górę zobaczyć się z naszymi chłopcami. Koniecznie chcieli, żebyśmy tam zostały, ale wytłumaczyłyśmy im, że jeszcze kilkunastu chłopaków leży w piwnicy długich oficyn. „Zaraz wrócimy, jak to [zrobimy]”.

Zeszłyśmy. Na schodach oficyny spotkałyśmy młodą dziewczynę w białym fartuchu, która wychodziła od nich. Mówiła, że sama została z kilkunastoma chłopakami, że musi iść zobaczyć, co słyhać z rodziną i że zaraz wróci. Oczywiście więcej nie wróciła, bo nikomu nie pozwalano spacerować po tej ulicy tam i z powrotem. Początkowo wołałyśmy i nikt się nie odzywał. To była kompletnie ciemna piwnica, okienka były zabezpieczone. Wreszcie ktoś zobaczył, że jesteśmy w białych fartuchach i wtedy wszyscy jednym głosem wołali, że chcą iść do szpitala. Zaczęłyśmy ich po kolei wynosić, kilku do bramy na Kilińskiego 1, ale czas biegł. Dom się palił, leciały spalone papiery, kawałki drewna. Wynosiłyśmy chłopców i układałyśmy przed wejściem, a oni sami, jak tylko mogli - niektórzy w bandażach, niektórzy półnaczy - po prostu się czołgali. Byle dalej od żaru palącego się domu.

Wyniosłyśmy ich wszystkich z jednego korytarza, z tym że w środku korytarza stykały się dwie oficyny. Jedna miała niższy poziom, druga wyższy. Korytarze nie pasowały do siebie i zrobiono schodki. Przejście na schodkach było tragiczne. Ta, która była na górze, musiała kompletnie się pochylać, żeby unieść nosze, a druga musiała nosze podnieść jak najwyżej, żeby ranny nie spadł jej na głowę. W pewnym momencie Basia się zachwiała i o mało nie spadła na dół. Pękło jej ramiączko u koszuli, spętało nogi. O mało się nie zwała. Tak Basia wyszła bez bielizny ze Starego Miasta,

W każdym razie wyniosłyśmy wszystkich. Było jeszcze drugie wejście, leżała tam między innymi sanitariuszka „Kozak” która miała amputowaną nogę i była zarażona tężcem. Przeniosłyśmy wszystkich do bramy na Kilińskiego 1, a z bramy miałyśmy najkrótszy etap, bo przeniesienie ich do szpitala na Długiej 7. Wtedy zobaczyłyśmy, że ulicą Kilińskiego sunie

pochód. Idzie nasz lekarz, który został w szpitalu, idą pielęgniarki, lekko ranni, niektóre pielęgniarki prowadzą rannych. Między nimi dostrzegłyśmy Wisie, która prowadziła „Ikara”. Zdezorientowane podbiegłyśmy do niej i pytamy: „Co się stało?”. Wisia była zupełnie przerażona, mówi: „Nie wiem, nic nie rozumiem. Kazali nam wyjść. Idźcie ratować naszych [rannych]”.

Wtedy usłyszałyśmy strzały w szpitalu. Krzyki i strzały. Pobiegłyśmy wejściem od ulicy Podwale, przepchnęłyśmy się przez tłum wychodzących jeszcze rannych, przebiegłyśmy całe podwórze do bramy na Długiej 7 i tam okazało się, że nie możemy wejść na schody, bo tam już stoją Niemcy? Odpychali nas od wejścia. Obok stała jedna ze starszych sanitariuszek i ona również krzyczała, że tam nie wolno chodzić. Dopiero później żeśmy zrozumiwały, że ona uratowała nam życie. Wiadomo było, że by nas tam rozwalili. Bez przerwy było słychać strzały ze wszystkich stron.

Niemcy rozstrzelali tych powstańców...

Tak, rozstrzelali wszystkich, którzy [tam byli]. Nie wiadomo, ale ponad 200 osób. Wiedziałam, że z tymi Niemcami już nic nie poradzimy. Nie było mowy, żeby tam wejść. Wtedy zobaczyłam, że na środku podwórza stoi kupa żołnierzy i otacza oficera, bardzo eleganckiego - z dystynkcjami, czerwonymi odznakami. Przez głowę przelatywały mi najrozmaitsze myśli. Czy się zwrócić do niego, bo przecież to na pewno on zarządził egzekucję. Jak zareaguje. Ale z drugiej strony to ostateczna szansa na to, że może uda się uratować naszych kolegów. Zdecydowałam się do niego podejść. Powiedziałam, że tam leży mój brat ranny od bomby i chciałam go zabrać, a żołnierze nie pozwalają mi wejść na górę. [Poprosiłam], żeby pozwolił mi go zabrać. Nie zareagował. Myślę sobie - Może nie zrozumiał? Może źle powiedziałam? Zaczynam wszystko mówić drugi raz. On się do mnie odwrócił i momentalnie twarz eleganckiego oficera zamieniła się w twarz furjata. Dosłownie miał w ustach pianę, wrzeszczał strasznym głosem, że wszystkich nas każe rozstrzelać, bo wszyscy tutaj są winni, są bandytami, kobiety, dzieci - wszyscy pomagali. Wiedziałam, że tutaj już nic nie wskóramy. Zabrałyśmy się z Basią i wyszłyśmy na Podwale.

Na Podwalu spotkałyśmy Niemca, który świecił nam latarką, jak wynosiłyśmy rannych z piwnic, pomagał nam. Po ciemku trudno było się ruszać, zapałki natychmiast gasły, a on nam oświecał. Podbiegłyśmy do niego i mówię, że tam jest egzekucja i zaczęłam go prosić, żeby tam poszedł i pomógł nam dostać się do naszych rannych. Początkowo się wzdragał, może nie wierzył, że może pomóc. Basia ciągnęła go za rękaw, ja go popychałam w plecy, obiecywałam mu, że dam mu złotą bransoletkę. W każdym razie doprowadziłyśmy tego Niemca. Nie chcieli nas wpuścić na podwórze. On powiedział, że idziemy razem z nim. Doszliśmy do bramy na Długiej 7. Kazał nam zaczekać, podszedł do żołnierzy, którzy nas nie chcieli wpuścić na górę. Wrócił za chwilę z opuszczoną głową i powiedział, że już tam nie ma po co iść, bo już jest za późno.

Czy to był Niemiec, czy Ślązak?

Niemiec. Przecież byli przyzwoici Niemcy. Wtedy odwróciłyśmy się i zobaczyłyśmy księdza Rostworowskiego. Wszedł z piwnic. Stał, żegnał umierających, udzielał im ostatnich absolucji. Chwyciłyśmy ojca pod rękę i płacząc, wszyscy stamtąd wyszliśmy. Na ulicy już nie było ludzi z tobołkami, byli tylko ranni. Wyszli o własnych siłach i nie mogli iść dalej. Siedzieli zrezygnowani. Zobaczywszy nas — bo już nikogo właściwie nie było - wyciągali ręce i prosili o pomoc. Ksiądz pochylił się nad rannym. Z bramy wybiegł starszy mężczyzna i niósł przed sobą młodą dziewczynę. Była owinięta tylko w prześcieradło, na piersi miała zakrwawiony opatrunek. Posadził ją na kupie gruzu i zrozpaczony oglądał się dookoła, szukając jakiejś pomocy. Basia podbiegła do niego, zrobili z rąk stołeczek, posadzili ranną, która im co pewien czas mdlała. Tak powędrowali w kierunku Placu Zamkowego. Wszyscy

kierowali się na Plac Zamkowy. Byłam tak otepiała, że zdawało mi się, że nie ma sensu komukolwiek pomagać, bo i tak, i tak wszystkich zastrzelą. Wtedy z jednej bramy wybiegła kobieta z małą dziewczynką. Wcisnęła mi dziewczynkę w ręce i zawołała: „Niech pani idzie z nią na Plac Zamkowy, ja was dogonię!”. Zawróciła do domu. Wtedy zauważyłam, że mała ma świeżo amputowaną rączkę, fioletowo-czerwony kikut. Była przerażona. Zdrową ręką trzymała mnie z całej siły za szyję. Ruszyłam z nią w stronę Placu Zamkowego. Szłam dość szybko, tak że dopędziłam grupę ludzi. Zobaczyłam, że na końcu szło dwóch mężczyzn i w pewnym momencie zginęli między starszymi osobami.

Okazało się, że z lewej strony stoją Niemcy z pistoletami. Hełmy nasunięte, spocone, czerwone gęby, a dalej kupa trupów. Wyciągali po prostu ludzi podejrzanych o bycie powstańcem lub kogoś, kto nie mógł iść. Wyciągali na bok i rozstrzeliwali. W końcu wyszliśmy na Plac Zamkowy, tam zwałona kolumna [Zygmunta]. Pełno ludzi, dookoła własowcy, Niemcy. Nie wiedziałam, co mam zrobić z tą dziewczynką. Jej matka się nie zjawiała. Rozglądałam się, czy nie widać gdzieś Basi czy ojca Tomasza, ale nigdzie ich nie widziałam. Zaczęłam się przeciskać przez tłum, ale mała wyciągnęła rączki do ciemnowłosej kobiety. Okazało się, że to widocznie ktoś z jej rodziny. Zabrała ode mnie dziewczynkę, z czego się ucieszyłam, bo już miałam wolną rękę. Wtedy pomyślałam, że [skoro] nie ma Basi i ojca Tomasza, to trzeba szukać Wisi i „Ikar”, bo „Ikar” był ciężko ranny w nogę i daleko nie zaszli, opierając się na szczotce.

Niemcy organizowali oddziały, które szły Mariensztatem i kierowano je na Wolę. Poszłam sama nie czekając. Ludzie byli wykończeni siedzeniem w piwnicy, groźbą stałych nalotów. Tylko nasłuchiwali, czy leci samolot czy słychać świst bomby.